

Bona. Królowa z rodu Sforzów. Tom 5

BARBARA I KRÓL

A detailed portrait of a woman, Renata Czarnańska, in 16th-century attire. She has a large, dark, ruffled collar and wears a necklace with pearls and jewels. The background is a soft, hazy landscape with trees and a distant building. The image is framed by ornate, golden, leaf-like patterns on the left and right sides.

RENATA
CZARNECKA

RENATA CZARNECKA

BARBARA I KRÓL

BONA. KRÓLOWA
Z RODU SFORZÓW
TOM 5



Copyright © 2025 by Renata Czarnecka

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

KOREKTA: Aleksandra Zok-Smoła

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

ZDJĘCIE AUTORKI: Wojciech Ciszewicz

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-337-9

EAN: 9788384123379

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-338-6

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

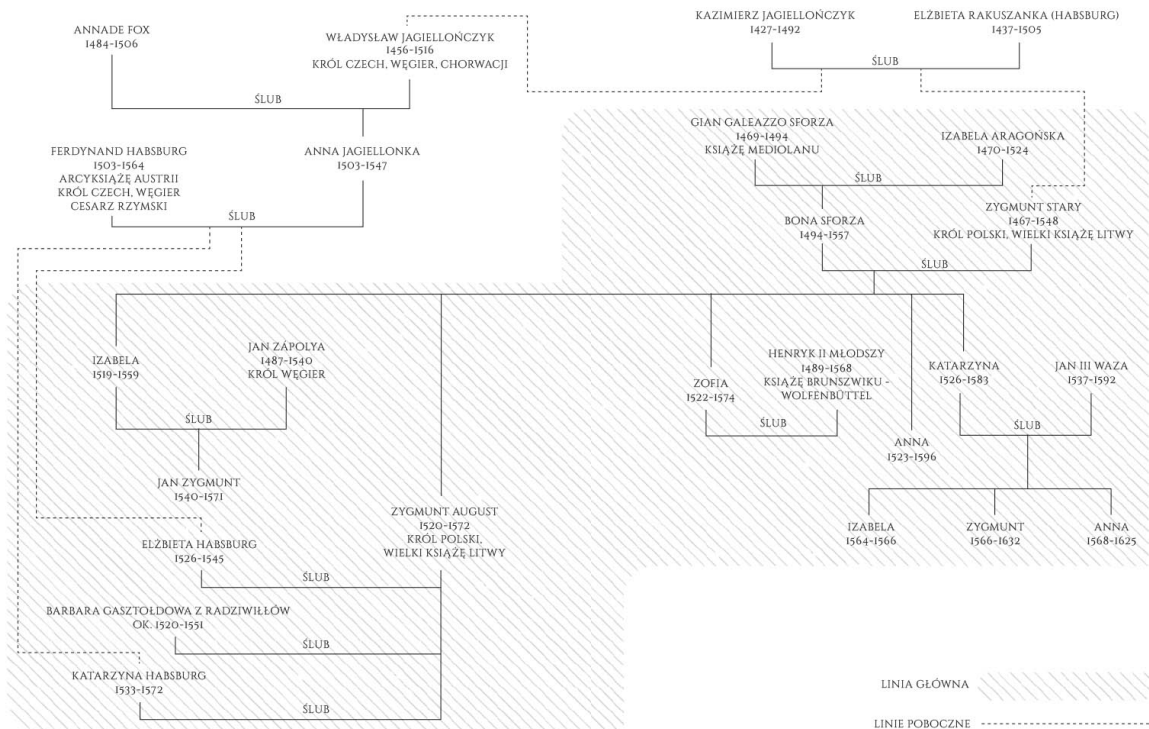


Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

SFORZÓW I JAGIELLONÓW



PROLOG

ZAMEK WARSZAWSKI, WRZESIEŃ 1573

Słońce wlewało się do komnaty przez liczne okna i rzucało złociste smugi na postać infantki. Anna Jagiellonka siedziała na krześle obitym czerwonym adamaszkiem, a jej dłonie wspierały się miękko na podłokietnikach. Smukłe palce ubrane w złote pierścienie razily wzrok bielą skóry. Z jej brązowych oczu biły duma i pewność siebie. Oto spadkobierczyni Jagiellonów, polska infantka i jedyna przyszła władczyni ogromnego państwa. Już nie spuszczała wzroku, nie uciekała jak dawniej spłoszonym spojrzeniem. Po wielu latach sieroctwa los zaczął jej wynagradzać niedole i smutki. Już niebawem poślubi francuskiego królewicza i zostanie królową Polski. Ubrana w atłasową suknię w kolorze głębokiego ametystu i lśniąca od klejnotów, przyjmowała hołdy poddanych, słuchała żalów oraz prośb tych, którzy uciekali się pod jej opiekę. Śledziły ją setki oczu. Dworzanie i posłowie obcych dworów zalegali parter i galerię, skąd najlepiej widzieli, co się dzieje przy królownie, i gdzie mogli śmielej wypowiadać sądy. Duszne od potu i pachnideł powietrze gęstniało od prażącego słońca.

Wtem rozległ się donośny głos:

– Księżna Woroniecka!

Odpowiedział mu pomruk pogardy, który poruszył tłumem i natchnął go nową falą nienawiści. Wyczekująco patrzono ku podwojom, w których naraz ukazała się postać w czerni i dumnym spojrzeniem potoczyła po komnacie, tymczasem szept wstrząsnął dworzanami. Dawna królewska

metresa, Barbara Giżanka, a teraz księżna Woroniecka, miała na sobie czarną suknię po królowej Barbarze, którą dawniej, jeszcze za życia, ofiarował jej król. Setki pereł przyszytych do sukni lśniły w blasku dnia, cenne kamienie zdobiły też głowę Giżanki. Ci, którzy dawniej w tym stroju widzieli królową Barbarę, oniemieli na ten widok. Podobieństwo było uderzające. Takie same rysy twarzy, delikatnie zarysowane usta i ciemne oczy, w których znać było dumę. Giżanka ruszyła przed siebie bez pośpiechu, rozważnie. Gdy szła, goniły ją ludzkie głosy, a w uszach huczały jej słowa: „Szlachetna nierządnic! Kurwa! Ladacznica! Przeklęta czarownica! Trucicielka! To ona zabiła króla!”.

Jednak oskarżenia nie złamały Giżanki, równo odmierzała kroki, prowadząc za rękę dwuletnią dziewczynkę. Spod brokatowego czepca dziecka wymykały się jasne kędziory, a długa, ciężka suknia w kolorze czerwieni krępowała mu ruchy.

– Bękart! Pomiot! – Syk pogardy znowu przeszedł przez komnatę, a potem zapadła cisza tak przejmująca, że zdawało się niektórym, iż słyszą bicie serca dawnej królewskiej metresy. Wpatrywano się w księżną Woroniecką oraz jej córkę. Odżyły gorące spekulacje, kto króla wyręczył w łóżu Giżanki, w twarzy dziecka próbowano odnaleźć rysy ojca. Ale mała Barbarka była tak podobna do matki, że stanowiła jakby jej kopię, toteż wszelkie próby rozwikłania zagadki pozostały bez odpowiedzi. Niektórzy wyrażali przekonanie, że najlepiej zawczasu należałoby to szczenię utopić w Wiśle, by na przyszłość uniknąć kłopotów. Oderwano oczy od dziecka i wbito je w Giżankę. Oto dziś stawała przed królowną, samotna i bezbronna, pozbawiona swoich dawnych protektorów – Mniszchów – i choć miała męża, przyszła sama, by się bronić przed oszczerstwami. Wtem ciszę przerwał płacz dziecka. To mała Barbarka potknęła się o suknię i upadła. Matka podniosła ją, otarła jej łzy, po chwili zaś stanęła przed

infantką. Anna zmierzyła ją lodowatym wzrokiem i zacisnęła wargi. W pamięci odżyły bolesne wspomnienia, w sercu otworzyły się rany. Nurt nienawiści w duszy królowny stawał się coraz silniejszy, aż wyparł z jej serca litość i współczucie. Anna widziała, jak Barbara Giżanka, a teraz księżna Woroniecka, pochyliła przed nią głowę i zastygła w głębokim ukłonie, po czym usłyszała jej aksamitny głos:

– Najjaśniejsza pani...

Jakże pozory zwodzą – oczy infantki zdawały się drwić z tej, która teraz w pokorze oddawała jej cześć. Postać Woronieckiej w czerni, z rdzawymi włosami upiętymi wysoko, ozdobionymi perłami, mogłaby zwieść jedynie tego, kto ujrzał ją po raz pierwszy. Ach, gdybyż były teraz same, pokazałaby dziwce, kto tu rządzi! Paznokciami naznaczyłaby jej piękną twarz na wieki. Wyryłaby głębokie koryta, by przypominały Giżance, kim była i kim pozostanie, mimo że nosi tytuł księżnej. A potem wyrzuciłaby ją z zamku, z Warszawy, wygnałaby na kraniec Polski, rzucając w dzikie i odludne stepy Ukrainy. Tam jest jej miejsce.

Woroniecka uniosła oczy i z nadzieją spojrzała na infantkę. Teraz jej los zależny był od królowny. Zygmunt August od ponad roku nie żyje. Mniszchowie jak szczury pouciekali, kryjąc się przed gniewem infantki i senatorów. Dotąd ściga ich niesława, która spadła także na nią. To ją czynią współwinną grabieży królewskich skarbów i nagłej śmierci monarchy. Każdy jej dzień jest podszyty strachem o życie własne i córki. Co raz docierają do Giżanki głosy żądające osądzenia dawnych „królewskich sokołów”. Nienawistni ludzie nigdy nie zapomną, coraz śmieiej żądają wtrącenia ładacznic do lochu i poddania torturom. I tylko ona jedna ma odwagę stanąć dziś przed infantką i bronić swej czci. Nie będzie uciekać. Oto oddaje się pod opiekuńcze skrzydła siostry zmarłego władcy.

Tymczasem Anna nie spuszczała wzroku z ładaczniczy, w jej głowie kłębiły się myśli. Dwie kobiety podobne do siebie jak dwie krople wody zaważyły na życiu jej brata, króla: Barbara z Radziwiłłów Gasztołdowa i ta oto zwykła warszawska mieszcza, Barbara Giżanka. Obie Zygmunt August kochał do szaleństwa i obie zrujnowały i króla, i królestwo. Mała Barbarka uśmiechnęła się, lecz nie wzruszyła zimnego serca infantki. Anna poczuła do tego dziecka jeszcze głębszą nienawiść, którą mogła ugasić jedynie zemsta.

ROZDZIAŁ 1

ZWIERCIADŁO UMARŁYCH

Listopadowy wieczór tysiąc pięćset siedemdziesiątego roku był spokojny, bez deszczu i porywistego wiatru, jaki jeszcze parę dni wcześniej z siłą uderzał w szyby warszawskiego zamku i przenikał jesiennym chłodem.

W oknach Domu Królewskiego¹ zamigotały światła. Naraz zadrgało mdłym pulsującym blaskiem światło w przyziemi, tam gdzie znajdowały się prywatne komnaty króla. W kątach przestronnego pokoju w wysokich czarach palił się ogień. Naraz rozległo się ciężkie westchnienie i jakaś postać zamajaczyła w półmroku. Błysnęły ciężkie złote łańcuchy zawieszone na piersiach, pierścienie na kościstych palcach zaśniły głęboką zielenią szmaragdu, a dotąd zgasłe oczy ożyły. Twarz króla się zasepiła. Przed chwilą wyszedł od niego pokojowiec, Mikołaj Mniszech. Pozostawił Jagiellona w głębokiej zadumie i bardzo poruszonego, jakby wieści, które Zygmunt August usłyszał, wskrzesiły w nim nadzieję i odgrzebały dawne wspomnienia, nadały nowy cel jego życiu. Po chwili władca podniósł się z krzesła, ale nie wyprostował sylwetki jak dawniej. Jego plecy były zgarbione, a krok pozbawiony sprężystości, gdy szedł w kierunku lustra oprawionego w złotą ramę. Pozbawione siły nogi powłóczyły po dywanie. Naraz w zwierciadle odbiła się twarz. W półmroku oblicze króla miało piękne rysy, jakby czas cofnął się o dwadzieścia lat. Zygmunt August znowu był młody, o dumnym spojrzeniu czarnych oczu, jasnej gładkiej cerze i pięknie wykrojonych ustach. Czarna aksamitna czapka, mocno

naciągnięta na głowę, zlewała się z mrokiem. Tak niewyraźnie monarcha widział swoje odbicie. Przystawił kandelabr bliżej lustra i zdjął czapkę. Poraziła go biel włosów, pośród których przebijały pojedyncze czarne nitki. Oblicze miał szare, w kąciakach oczu i ust głębokie bruzdy wryły koryta, a w żrenicach tlił się ogień dawno pogrzebanych nadziei i niespełnionych pragnień. Poczuł gorycz, oczy zaszyły mu żalostí. Tylko światło odkrywa zatem prawdę, pokazuje całą zgniliznę postępującej starości i odbiera nadzieję na cud, który dać może jedynie mrok nocy. Władca się zadumał. Do głowy cisnęły się myśli pełne nadziei, a zarazem rozterek. Czy tam, po drugiej stronie lustra, istnieje inny świat? Świat ludzi umarłych, do którego dostępu bronią tajemne sztuczki czarnoksiężników? A jeśli istnieje, czy jego ukochana Barbara go pozna? Wszak minęło prawie dwadzieścia lat. Czy jej miłość jest tak gorąca jak dawniej? I czy wolno żywym dla własnej igraszki wzywać z zaświatów umarłych, po to tylko, by zaspokoić własny egoizm, nie licząc się z cierpieniem duszy, która pragnie już wyłącznie spokoju?... A jeśli i ona tego chce? Jeśli jej duch błąka się pośród żywych i jedynym jej życzeniem jest ujrzeć króla po raz ostatni, by w spokoju duszy odejść na zawsze?

Ciało monarchy zadrgało, jakby głuchy wewnętrzny szloch wstrząsnął jego członkami. Zgarbił się jeszcze bardziej, przytłoczony ciężarem rozterek, pragnień i bezsilności. Wreszcie odwrócił się i przeszedł do alkierza, do którego drzwi były rozwarte i gdzie nad masywnym kabinetem² wisiał obraz ukochanej Barbary. Dwie świece w mosiężnych kandelabrach rozświetlały postać zmarłej królowej. Ubrana w czarny koronacyjny strój, w wysadzanej cennymi kamieniami koronie, z której spływał biały welon, z lśnącymi bielą perłami ozdabiającymi jej twarz, wydawała się zadumana, ale spokojna. Taką ją zapamiętał i taka żyła w jego sercu, wiecznie młoda i piękna.

– Gdybyż mi odpowiedziała... – szepnął i oczy wpatrzone w królową zwilgotniały. Łzy spłynęły po policzkach Jagiellona. Barbara spoglądała na niego łagodnym wzrokiem, który sprawił, że jakieś ciepło rozlało się w jego duszy.

Naraz myśli króla zmaćił szelest. Monarcha natychmiast otarł łzy i oderwał oczy od portretu, by śpiesznie powrócić do gabinetu. Oto dostrzegł skuloną przy kaflowym piecu postać i źrenice, które nagle błysnęły w półmroku. Zapomniał, że nie jest sam, że w kącie siedzi jego trefniś, którego zadaniem jest bawić i rozweselać króla. Karzeł tymczasem, skryty w mroku, pilnie się władcy przyglądał, równie jak on zamyślony i zaintrygowany tym, co powiedział Mikołaj Mniszech. Gdy królewski pokojowiec wcześniej wszedł do komnaty, w szarości gasnącego dnia nie zauważył Kosmy siedzącego w kącie cicho jak mysz. Nie wiedział więc, że nie są sami. Także król o nim zapomniał i teraz rozkazał mu odejść. Trefniś jednym susem skoczył na nogi i zbliżył się do monarchy, wówczas blask bijący od świec rozjaśnił jego postać. Potem wyprostował się i wyprężył niczym kot, lecz to nie dodało wielkości jego mikrej posturze. Miał dwadzieścia pięć lat, ale twarz jego starzała się szybko i pierwsze bruzdy zmarszczek okalały już głęboko osadzone oczy, na wąskich ustach błąkał się uśmiech. Tkwił przy królu od dobrych dziesięciu lat. Wesoły temperament zjednywał mu sympatię otoczenia, lecz niektórzy ledwo go tolerowali ze względu na wszędobylstwo i wścibskość. Karzeł skłonił się jego wysokości, po czym w milczeniu opuścił królewskie apartamenty. W korytarzach panował chłód, gdzieś w oddali zawył wiatr. Kosma bojaźliwie się przeżegnał, tym bardziej był wystraszony, gdy przypomniał sobie to, o czym mówił pokojowiec Mniszech. Wreszcie umknął przed siebie, rozglądając się płochliwie i klucząc zamkowymi korytarzami. Niebawem opuścił Dom Królewski i przekroczywszy dziedziniec,

skierował się do Domu Małego³. Wkrótce stanął pod drzwiami jednej z komnat i bezzwłocznie zapukał do drzwi. Po chwili uchyliły się i w świetle dobywającym się z pokoju ujrzał w progu młodą pokojową – Joannę. Dama przyglądała się karłowi wyczekująco i dopiero gdy zażądał, by go wpuściła, w milczeniu rozwarła szeroko drzwi. Wszedł tak pewnie, jakby był u siebie. Kazała mu czekać, sama zaś zniknęła w przyległej komnacie. Wróciła szybko, ani się obejrzał.

– Pani cię oczekuje – powiedziała.

Kosma uśmiechnął się szelmowsko i śmiało podążył do pokoju. Oślepił go mrok, rozpraszany blaskiem jednej świecy, do którego oczy musiały się przyzwyczaić. W dusznym powietrzu unosiła się słodka woń palisandru i mieszała z zapachem gorącego wosku. Kosma wzrokiem omiótł komnatę. W ciemności światło ledwo muskało kontury wielkiego łóża nakrytego baldachimem, kabinety, zydle i skrzynie. Tylko stół jaśniał od świecy wbitej w srebrzysty kandelabr. Naraz szmer przebiegł po pokoju – to damy dworu Zuzanny Orłowskiej, królewskiej metresy, oraz paziowie opuszczali komnatę.

– Czego chcesz? – Z mroku padło pytanie wyrażone szorstkim, chłodnym głosem.

Kosma natychmiast skierował wzrok w ciemną otchłań, z której głos się wydobył. Błyszcząca suknia załśniła w tej czerni i jakaś postać się poruszyła.

– Ten wieczór mam wolny, pani, zatem jestem do twych usług – oznajmił trefniś.

Z ciemności rozległ się śmiech, który prędko ucichł.

– Dobrze, możesz mi się przysłużyć. Dowiedz się, kto tej nocy będzie w królewskim łóżu – powiedziała.

– Nikt, pani, bowiem od kilku nocy królewskie łóżce jest puste – oświadczył z taką pewnością, że nie miała cienia wątpliwości, że mówi prawdę.

Jej oczy zasnuły się niepokojem. Również po nią monarcha nie posyłał już od tygodnia. Ten stan rzeczy bardzo ją niepokoił, bo jeśli król utraci męskie siły na zawsze, rola metresy w jego życiu się skończy. Należy więc w Zygmuncie Auguście ożywić pragnienia, spowodować, by na widok tak pięknej jak ona kobiety budziły się w nim żądze – by tylko jej pożądał. Dotąd nikt nie odebrał jej miana pierwszej królewskiej kochanki. Zdystansowała rywalki, młodsze i niejednokrotnie dorównujące jej urodą. A teraz, gdy na polu walki o władzę nad królem została sama, gdy zwyciężyła w wyścigu do królewskiego serca, musiała uczynić wszystko, by utrzymać Zygmunta Augusta przy sobie.

– Pora to zmienić – powiedziała wreszcie, pewna, że potrafi uzdrowić króla, którego męska niemoc skazywała na samotność. – Powiedz jego wysokości, że potrafię dać mu to, czego pragnie, i że czekam na jego wezwanie.

Nagle w mroku coś zamigotało i z kąta dobiegł przytłumiony skowyt. Okazało się, że przy rozgrzanym piecu wygrzewa się ogar, który teraz podniósł łeb i uważnie przyglądał się gościowi, śledząc każdy jego gest. Widać znał karła, lecz nigdy nie doczekawszy się pieszczot z jego strony, traktował go obojętnie.

– Obawiam się, pani, że żadna kobieta nie może pomóc naszemu miłościwemu panu, bowiem to, czego teraz poszukuje, wykracza poza zmysłowość. Pożądanie wypala się w królu i ustępuje miejsca pozacielesnym pragnieniom.

– To znaczy? – rzekła i oderwała się od kabinetu. Po chwili znalazła się w skąpym blasku światła. Chwyciła kandelę, by od niej zapalać świece

wciśnięte w pięcioramienny kandelabr. Płomyki rozproszyły mrok i komnata pojaśniała. Teraz wyraźnie zarysowały się kształtna sylwetka metresy, szczupłe ramiona i długa szyja, którą oplatał szmaragdowy naszyjnik. Ciemna barwa sukni i czarne, upięte włosy podkreślały biel nieskazitelnej cery i czerwień pełnych ust. Zielone oczy jeszcze bardziej wydobywały jej wielką urodę. Była piękna, toteż nie dziwiono się, że król zapalał do niej wielkim uczuciem. Jedno, co zastanawiało dworzan, to siła, z jaką Zuzanna przywiązała Zygmunta Augusta do siebie. Metresa mieszkała na zamku warszawskim od siedmiu lat, otoczona liczną służbą oraz damami do towarzystwa, opływała w dostatki i przebierała w luksusowych towarach i podarkach, które król jej posyłał. Władca pamiętał o kochance nawet wtedy, gdy choroba odbierała mu siły i w łożu spędzał samotne noce. Byli tacy, którzy upatrywali w tym ręki szatana. Szeptano, że Zuzanna to czarownica, że tajemnymi sztuczkami monarchę do siebie przywiązała, że włada nim niczym królowa, tymczasem prawowita jego małżonka, Katarzyna, pędzi mnisi żywot w dalekim Linzu, pozbawiona wygód i zdana na los.

– To proste, pani, król porzucił cielesne doznania na rzecz doznań duchowych, co się stało za sprawą niejakiego pana Durentiusa... – oświadczył.

– Któż to taki?– spytała.

– Nie wiem, pani, ale mówią, że rozmawia ze zmarłymi, że dusze z zaświatów wywołuje ku pociesze strapionych i cierpiących śmiertelników.

– Ciekawe... – przyznała, dopiero teraz głęboko zamyśliwszy się nad jego słowami, po czym spytała: – Ale po cóż król miałby to robić?

– Po to, pani, by zobaczyć umarłą królową...

Oblicze Zuzanny ochłodziło. To, czego się dowiedziała, wprowadziło ją w głęboką zadumę. Dotąd nie słyszała o tym człowieku, lecz była go

ciekawa. Czy rzeczywiście potrafi wyczyniać sztuczki, o których mówił głupi Kosma, czy to tylko jemu podobny błazen i oszust, który próbuje omamić króla, by wyłudzić od niego fortunę? Jeśli wszakże temu człowiekowi uda się ożywić wspomnienia o zmarłej Barbarze do tego stopnia, że bez nich król nie będzie mógł żyć, wówczas ona utraci względy monarchy na zawsze. Niepokój okrył jej twarz. Karzeł dostrzegł to i jeszcze baczniej jej się przyjrzał. Wiele by dał, by teraz poznać jej myśli, wniknąć do duszy i poczuć to, co ona czuje.

Zuzanna poruszyła się, a wtedy szelest jej miękkich sukien wytrącił go z zadumy. Widział, jak stąpa po miękkim dywanie, biodra jej kołyszą się płynnie, ramiona niczym skrzydła łabędzie poruszają się lekko w takt kroków. Ilekroć na nią patrzył, zawsze miał w oczach podziw dla jej urody. Doprawdy nie znał kobiety od niej piękniejszej. Dźwięk wysuwanej szuflady rozproszył ciszę. Zuzanna sięgnęła po monetę, którą rzuciła w stronę karła, wołając:

– Łap!

Metal załśnił w świetle ognia, zatańczył, obrócił się kilkakrotnie, by w końcu uderzyć o drewnianą podłogę, odbić się od niej, wydając przytłumiony dźwięk, i potoczyć się pod piec, przy którym wylegiwał się ogar. Niezdarność Kosmy rozbawiła metresę, która gromko się roześmiała, zaś widząc, że pies pierwszy pochwycił monetę, rzekła z cynizmem:

– Cętkowany jest od ciebie lepszy!

Kosma spochmurniał. Obruszył się na takie traktowanie i teraz w duchu złorzeczył: *Przeklęta czarownico! Nie jestem jednym z twoich psów! Jestem królewskim karłem, nikczemna bękarcico*. Zmarszczył czoło, gdy ujrzał zimne źrenice Zuzanny przenikające go na wskroś, jakby odgadła jego myśli.

– Zostaw! – rozkazała zwierzęciu władczym tonem.

Ogar posłuchał natychmiast, podkulił ogon i uciekł, by legnąć przy piecu.

Karzeł podniósł monetę, w milczeniu się skłonił i wyszedł, w progu minął się z grubą karlicą – Lukrecją, która dawniej służyła królowej Barbarze. Kiedy Radziwiłłówna umarła, karlica stała się jedną z wielu rzeczy w jej pośmiertnym ruchomym inwentarzu, rzeczy o wartości tak niskiej, że nikt nie wyciągnął po nie ręki. Zygmunt August trzymał ją przy sobie ze względu na pamięć zmarłej małżonki. Lukrecja w kondukcje żałobnym odprowadziła królową do Wilna, potem tułała się po zamku wawelskim, w końcu podążyła za monarchą do Warszawy. Przetrwała wiele królewskich kochanek, od których nigdy nie dostała dobrego słowa. Dopiero gdy na zamku pojawiła się Zuzanna Orłowska, los Lukrecji się odmienił.

Metresa ujrzała jej wychudzoną postać snującą się po korytarzach w mroźny dzień, ubraną w lichą, wytartą suknię. Karlica zaintrygowała ją na tyle, że przyjęła ją do siebie, odkarmiła i przyodziała w nowe suknie. Lukrecja odpłacała się wiernością i posłuszeństwem, była na każde zawołanie swej pani, dla niej gotowa zrobić wszystko. Z czasem nabrała ciała, zaczęła nawet tyć, zmieniał się także jej charakter. Czasami znamionował go ośli upór, który Zuzanna tępiła ostrym słowem, a nieraz nawet siarczystym policzkiem. Kiedy i to nie pomagało, nazywała ją podłą niewdzięczną staruchą i groziła wyrzuceniem z zamku w najmroźniejszą noc. Bywało, że zamykała ją bez jedzenia na kilka dni, raz nawet odważyła się spełnić groźbę i przepędziła karlicę w mroźny zimowy wieczór. Lukrecja błąkała się po Warszawie parę dni i nocy, po czym wróciła głodna, brudna i obdarta. Zuzanna spostrzegła, że jej twarz i dłonie są posiniaczone. Może nawet od kogoś uciekła, wybierając niewolę u królewskiej kochanki,

za to z pełnym talerzem i ciepłym posłaniem, zamiast niedoli u boku jakieś wędrującej po świecie trupy o głodzie, chłódzie i strachu.

Lukrecja weszła cicho, by swoim zwyczajem usiąść przy piecu. Czas pogłębił jej brzydotę. Miała już trzydzieści pięć lat i twarz głęboko zoraną zmarszczkami. Oczy zapadły się jeszcze głębiej, siwiejące włosy mocno się przerzedziły, straciła też kilka zębów.

– Przyniosłaś? – spytała metresa.

Lukrecja kiwnęła głową i zza gorsetu sukni wyjęła lniany woreczek przewiązany skórzanym rzemykiem.

– Dobrze się sprawiłaś, teraz możesz się wylegiwać przy piecu – oświadczyła Zuzanna.

Pochwalona przez swą panią karlica uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Znowu się uśmiechasz – skarciła ją Zuzanna cierpkim tonem. – Gdybyś nie unikała lustra, dostrzegłabyś swą brzydotę, wtedy bez wątpienia zaszyłabyś usta najgrubszymi nićmi, by nie kaleczyć mych oczu.

Uśmiech natychmiast zniknął z oblicza Lukrecji, oczy jej posmutniały. Schowała się w kącie i siedziała tam tak cicho, jakby jej nie było. Tymczasem Zuzanna rozwiązała sznurek i zajrzała do worka.

Kora wierzby i olej z dziurawca na pewno choć trochę złagodzą ból i ulżą cierpieniu króla, mówiła sobie w myślach. Wiedziała, że ostatnio monarcha niedomaga; w takich sytuacjach posyłał po nią, a ona pielęgnowała go w chorobie. W chwilach cierpienia była mu najlepszą pocieszycielką, gdy przykuty do łoża bólem spędzał w nim dni i noce. Spodziewała się więc, że wkrótce król, znowu znękany bólami, po nią pośle.

.....

1 Część zamku warszawskiego, gdzie znajdowały się prywatne apartamenty króla, stanowiła oddzielny budynek.

2 Mebel skrzyniowy z licznymi szufladkami oraz z odchylającym się pulpitem do pisania.

3 Część zamku warszawskiego, odrębny budynek zamieszkały przez Annę Jagiellonkę i jej dwór.

ROZDZIAŁ 2

GDY DWIE MOCE SIĘ SPOTKAJĄ...

Zmierzchało. Nad Warszawą zawisły ciężkie chmury i osiadły nisko nad miastem. Tymczasem na warszawskim zamku panowała atmosfera wyczekiwania, gdyż wypatrywano maga Durentiusa. Zygmunt August siedział na tronie pod czerwonym baldachimem, równie ciekaw owego człowieka. Od jakiegoś czasu królewski dwór umierał, jakby toczyła go choroba polegająca na znużeniu. Monarcha, dawniej łasy na muzykę i sztukę, od miesięcy stronił od uciech zaszyty w swoich komnatach, tym radośniej więc przyjęto wieść o pojawieniu się nadzwyczajnego gościa, choćby miał przybyć z samych piekieł.

Starsi dworzanie wspominali dobre krakowskie czasy. Wawel tętnił wówczas życiem i nie było dnia, by na zamek nie zjechał jakiś ważny gość. Kraków zawsze pełen był ludzi, kolorów i zapachów, tymczasem Warszawa była jak zesłanie: mała, słabo zaludniona, otoczona bezkresnymi polami i lasami, obca i zimna. Tęsknota za Krakowem wypełniała więc dni i noce, niektórzy mieli jeszcze nadzieję, że kiedyś tam powrócą – jeśli nie z tym, to z kolejnym królem. Młodszy dworzanie dziwili się, cóż tak uparcie trzyma króla w tym miejscu, z dala od stolicy. I tylko starsi urzędnicy się domyślali, że to bolesne wspomnienia związane z Krakowem, wspomnienia, od których monarcha pragnie uciec. Tam bowiem umarła jego ukochana Barbara z Radziwiłłów.

Monarcha uniósł głowę i potoczył spojrzeniem po dworzanach. Dostrzegł pięćdziesięcioletniego mężczyznę ubranego na hiszpańską modłę.

Był to Jan Cyrus, cesarski poseł, zawsze małomówny, za to pilny obserwator. Cyrus tkwił w Warszawie od roku, strzegąc interesów królowej Katarzyny, i na bieżąco słał do cesarza raporty o tym, co się dzieje na zamku warszawskim.

Oblicze króla okrył cień bezsilności – jak zawsze, gdy patrzył na posła. Tę bezsilność zrodziła sytuacja, w jakiej monarcha się znalazł: Katarzyna z własnej woli oddaliła się do Linzu, zaś on był szczęśliwy, że się jej pozbył. Drżał na samą myśl, że mogłaby wrócić. Tak mu dobrze było bez niej, tak spokojnie! Nie dawała jednak o sobie zapomnieć, zasypując go pełnymi oddania i tęsknoty listami, w których zapewniała o wielkiej miłości. Początkowo o niej rozmyślał, potem śmiał się z listów, aż zobojętniał. Wieści od niej i o niej nie robiły na nim wrażenia, nie poruszały go skargi Cyrusa na samotność i oddalenie starzejącej się królowej. Król jej nie wzywał do powrotu, jakby dla niego umarła. Kiedyś podejmował starania, by uzyskać z nią rozwód, lecz próby te zakończyły się fiaskiem przy zdecydowanym sprzeciwie brata Katarzyny, cesarza Maksymiliana, który miał silne poparcie papieża. Mijały dni i miesiące, król czuł się jak w matni. Z czasem porzucił myśl o rozwodzie oraz nadzieję na wolność. Pozwalał czasowi płynąć, jak rzeka płynie swoim korytem, nie licząc już na odmianę losu.

Rozwarły się szeroko podwoje i w tym momencie twarz monarchy drgnęła. Do sali wkroczył królewski dworzanin i zapowiedział pana Laurentiusa Dhura. Na to wszyscy wstrzymali oddech i skierowali oczy w stronę drzwi. W tym momencie niebo gwałtownie pojaśniało od błyskawic, pośród dworzan zaś przeszedł pomruk trwogi. Nie zdarzyło się dotąd, by w listopadzie Warszawę nawiedziła burza. Nagle do komnaty wtoczyło się lodowate zimno i przegnało duchotę. W jednej chwili zgrabiała dłonie króla zaciśnięte na podłokietnikach tronu. Monarcha wtulił

szyję w ciepły kołnierz i spoglądał ku drzwiom, w których ukazała się wysoka, szczupła postać w ciemnych szatach. Pan Dhur podążał przed siebie pewnym krokiem, prowadzony dziesiątkami spojrzeń. Zatrzymał się przed monarchą i skłonił nisko.

Dworzanie przyglądali się gościowi z uwagą i dociekliwością, jakby próbowali odkryć, kim tak naprawdę jest ten człowiek. Ubrany był w ciemne szaty, w futrzanym płaszczu, który posturze jego dodawał wielkości. Długie czarne włosy opadały mu na ramiona i podkreślały biel cery. Oczy zdradzały ciekawość świata i łagodność charakteru.

Gość dyskretnie się rozejrzał i wbił wzrok w Zuzannę. Odkąd tu wszedł, nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś go śledzi. To metresa przyglądała mu się odważnie, próbując zapamiętać każdy szczegół jego postaci. Było w nim coś tajemniczego, a zarazem niepokojącego. Nieznajomy roztaczał wokół siebie woń kaszmiru i ambry, powodując, że krew w jej żyłach krążyła szybciej, w głowie zaś zrodziła się myśl: *Piękny mężczyzna... Zbyt piękny jak na śmiertelnika*. Linie bladych ust miał wyraźnie zarysowaną, nos prosty i duży, oczy przezroczyste jak kryształy, oblicze gładkie, skórę nieskalaną najpłytszą zmarszczką. *Ile lat ma w rzeczywistości?* zastanowiła się. *Dwadzieścia? Czterdzieści? Choć może i więcej niż wiek... A jeśli to Belial, książę piekieł, którego wygląd jest tak pociągający, że nie sposób mu się oprzeć, lecz naturę ma najszkaradniejszą ze wszystkich? Czyż nie jest mistrzem mistyfikacji i doskonałego łgarstwa?* Zuzanna zadrżała na tę myśl i niepokój przeniknął jej duszę.

– Skąd przybywasz, panie Dhur? – Głos króla przerwał ciszę.

Mag, wytrącony z zadumy, natychmiast zwrócił oczy na Jagiellona.

– Z Wirtembergii, wasza wysokość – odparł po polsku, czym zdumiał wszystkich obecnych.

– Zatrzymasz się dłużej w Warszawie? – dopytywał monarcha.

– Nie, wasza miłość, zmierzam do Krakowa.

– Powiedz, jeśli to nie tajemnica, nad czym teraz pracujesz?

– Poszukuję panaceum, wasza wysokość.

– Zapewne zwiedziłeś wiele krajów – odezwał się monarcha po chwili, pomyślawszy, że panaceum byłoby jego wybawieniem od chorób.

– Tak, wasza miłość. W podróży czuję się doskonale, bo z każdej wynoszę nowe nauki.

– W takim razie musisz być człowiekiem bezzennym – zauważył Zygmunt August.

Mag nie rozumiał intencji króla.

– Gdybyś miał żonę, zapewne nie podzielałaby twojego entuzjazmu do dalekich podróży – wyjaśnił król.

– Istotnie, wasza wysokość, rodzina byłaby dla mnie przeszkodą. Może dlatego dotąd się nie ożeniłem, chociaż w przyszłości tego nie wykluczam. Na starość osiadę w jakimś starym zamczysku i tam będę patrzył w gwiazdy.

– Więc jesteś także astrologiem, znasz się na gwiazdach.

– Tak, wasza miłość. Studiowałem astrologię – przyznał Dhur.

Król się zamyślił. Zaintrygowała go osoba maga. W jego oczach Laurentius Dhur, zwany Durentiusem, był człowiekiem światłym i wielce uczonym, o szerokich horyzontach. I teraz, patrząc na niego, monarcha nie wątpił, że jest w nim jakaś siła, która ludzi do niego przyciąga i zjednuje mu sympatię oraz zaufanie. Zygmunt August pragnął go spytać o to, co usłyszał od Mikołaja Mniszcha, lecz nie odważył się, uznawszy, że lepiej będzie rozmówić się z nim w prywatnych pokojach. Wyraził zatem nadzieję, że w najbliższym czasie mag zechce przyjąć jego zaproszenie, by opowiedzieć o krajach, które zwiedził. Potem król, wymówiwszy się słabym zdrowiem, udał się do swych pokoi. Na jego twarzy malowało się

cierpienie, dlatego uznano, że władca przerwał tak ciekawie zapowiadającą się rozmowę z powodu bólów podagrycznych.

Mikołaj Mniszech, który pośpieszył za królem, po chwili wrócił na korytarze i dogoniwszy Dhura, cicho, jakby zależało mu na dyskrecji, oznajmił, że miłościwy pan oczekuje go w prywatnych apartamentach. Pośpieszyli tam niezwłocznie odprowadzani wzrokiem czujnego Kosmy ukrytego w mroku.

Tymczasem Zuzanna Orłowska powróciła do swych komnat. Jej głowę zaprzętały myśli o Durentiusie. Metresa chwyciła kandelabr i postawiła go przy lustrze. Światło rozjaśniło taflę zwierciadła, przed którym usiadła. Im dłużej wpatrywała się w swoje odbicie, tym bardziej obraz się zacierał i zniekształcał. Poczuła się osaczona jakąś siłą, której ani nie rozumiała, ani jej nie widziała, lecz czuła jej obecność.

Nagle w lustrze zamajaczyła piękna twarz maga i wtedy Zuzannę ogarnęło gwałtowne pożądanie, ciało jej zapłonęło, serce biło jak oszalałe. Patrzyła na białe oblicze Laurentiusa, na jego zimne kryształowe oczy, które wionęły chłodem. *A jeśli to Mefistofeles? Unikający światła szatan, szyderczy i przewrotny, w którym jedynie okrucieństwo potrafi wyzwolić radość?* Czarne myśli wzbily się w jej głowie niczym stado wron. Naraz wizerunek w zwierciadle wykrzywił się i usłyszała szyderczy, pełen okrucieństwa śmiech. Zuzannę coś gwałtownie ścisnęło za piersi, chwyciło za krtani. Poczuła duszność. Serce, jakby uwięzione w niewidzialnym potrzasku, przestało bić. Siłą woli wyszarpnęła się z kleszczy i chwyciwszy kandelabr, uderzyła nim w lustro. Rozprysło się na tysiące kawałków, wtedy przeszył ją przenikliwy ból w piersiach. Ustał tak nagle, jak się pojawił. Oddychała głęboko i łapczywie, gdy do komnaty weszły Joanna z Lukrecją. Widząc rozbite zwierciadło i przewrócony kandelabr, z niepokojem przyglądały się metresie, próbując dociec, co tutaj się stało.

– Nie gapcie się, tylko posprzątajcie! – rozkazała zirytowana ich milczeniem Zuzanna. – Żeby mi nie został ani jeden kawałek szkła. I zapalcie wszystkie świece!

Joanna pochyliła się nad rozbitym lustrem, po czym spojrzała na królewską kochankę.

– Skaleczyłaś się, pani – powiedziała.

Orłowska zmarszczyła brwi i podeszła do kabinetu. Wysunąwszy szufladę, wyciągnęła podręczne lustro oprawione w owalną złotą ramkę. Przez moment się wahała, jakby zabrakło jej odwagi, by w nie spojrzeć. Czy znowu nie nawiedzą jej zwidy i nie zobaczy Dhura? Czy nie usłyszy jego śmiechu, który boleśnie przenika każdą część umysłu, wbija się w uszy najszkaradniejszym brzmieniem i po duszy tłucze niczym najcięższe głazy? Wreszcie uniosła lustro i popatrzyła na swoje odbicie. Białą jak mleko cerę przecinała na policzku niewielka rysa, z której pociekło kilka kropli krwi. Dziwne, w chwili ukłucia nie poczuła żadnego bólu, zupełnie nic. Ale teraz, kiedy jej wzrok padł na ranę, dotkliwe cierpienie przeniknęło jej serce. Otarła krew i zwróciła się do Joanny:

– Sprowadź Kosmę!

Pokojowa, nie zwlekając, pobiegła po karła. Tymczasem w komnacie coś szurnęło po podłodze raz i drugi, potem mignęło na łóżku. Zuzanna chwyciła jedwabną pościel i gwałtownym ruchem zerwała ją z łóżka. Mysz, popiskując, czmychnęła jednym susem, przebiegła pod nosem Cętkowanego i zniknęła w mroku.

– Żebyś chociaż potrafił łapać myszy! – Orłowska kąśliwie rzuciła do psa.

W tym czasie Joanna wróciła z wiadomością, że karzeł zjawi się dopiero za godzinę. Metresa nie była zadowolona z tej zwłoki, lecz nie miała innego wyjścia, jak czekać. Uzbroidła się w cierpliwość, która

z upływem czasu zaczęła topnieć, bowiem minęła godzina, a potem druga, Kosmy zaś ciągle nie było. Kiedy wreszcie się zjawił, dochodziła dziewiąta.

– Kazałam ci przyjść, miałeś być za godzinę – powiedziała Zuzanna.

– Prosiłaś, pani, żebym przyszedł, bo rozkazywać może mi jedynie król – zaznaczył hardo.

Żachnęła się na to, ubodły ją słowa przypominające, jakie jest jej miejsce na zamku, lecz nie mogła odmówić mu racji, dlatego powiedziała, siłąc się na łagodność:

– W istocie...

– Tak więc, pani, gdy szedłem do twych komnat, w korytarzach uczynił się zamęt. – Jego ton stał się uprzejmy w odpowiedzi na jej ugodowość. – Do królewskich pokoi śpieszyli medycy, bo jak się okazało, zaraz po odejściu pana Dhura, którego nasz miłościwy pan gościł w prywatnych apartamentach, król zaniemógł.

Serce Zuzanny ścisnął strach. Nie wiedziała, że mag odwiedził Zygmunta Augusta w prywatnych pokojach. Milczała, przechadzając się po komnacie. W ciszy słychać było szelest jej sukni i skwierczenie drewnianych sęków w kominku.

– Więc powiadasz, że spotkanie z tym człowiekiem tak króla wzruszyło? – przemówiła wreszcie.

– Z człowiekiem?... Ten mag bez wątpienia ma ludzką postać, lecz co się pod nią kryje? – rzekł Kosma. – Gdy na niego patrzyłem, czułem taki niepokój, jakby diabli już robili zakłady o mą biedną duszę.

Zuzanna, z dłońmi splecionymi na łonie, zamyślona krążyła wokół stołu, szurając ciężką suknią. Zerkła co rusz na karła, wreszcie przystanęła i spytała:

– Wiesz, gdzie on mieszka? Ten Dhur?...

– Nie, pani. – Strapił się, ale wnet jego usta skrzywiły się w uśmiechu, oczy zaiskrzyły sprytem. – Ale dla ciebie gotów jestem poznać wszelkie jego tajemnice.

Wiedziała, że jego słowa są na wyrost, zauważyła zatem:

– Zdaje ci się to dziecinnie proste, ale dobrze, chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymał.

– Do usług, pani – powiedział i skłonił się gotów, odejść, zatrzymała go jednak:

– Jeszcze coś... Postaraj się o jakiegoś kota. Myszy czują się w moich pokojach jak u siebie.

– To też da się zrobić. I też będzie kosztować.

– Zapłata potem – oświadczyła. – Spiszesz się dobrze, nie pożałujesz.

Wyszedł z nietęgą miną – wolałby jakiś zadatek na koszty. Kot w dobie plagi myszy i szczurów był cenny jak złoto.

Zuzanna tymczasem posłała Joannę do Domu Królewskiego, by dyskretnie wypytała, jak miewa się król. Pokojowa wróciła dość szybko i oznajmiła:

– Przed pokojami króla natknęłam się na pana Mniszcha. Kazał mi natychmiast opuścić Dom Królewski i nawet polecił dwóm drabantom, by mnie odprowadzili do wyjścia. Ale chwilę wcześniej udało mi się spotkać doktora Saxo i pomówić z nim chwilę. Nie krył, że jego wysokość zasłabł i nękany silnymi bólami musiał się położyć do łóżka.

Wieści zaniepokoiły metresę. Wiedziała, że śmierć króla położy kres jej panowaniu na zamku. Wniwecz obróci się jej poświęcenie, dni i bezsenne noce u łóża coraz szybciej starzejącego się monarchy.

– Pani, wiem, że posłano po wiedźmy, by ulżyły królowi w cierpieniu. – Głos Joanny wyrwał ją z zadumy.

– Wrócisz tam. Chcę wiedzieć, czy jest tam moja ciotka Ludgarda. Jeśli tak, sprowadzisz ją do mnie – rozkazała metresa.

Joanna, choć nie była zadowolona z tego pomysłu, opuściła komnaty metresy, by wypełnić jej polecenie.

Czas mijał wolno i w napięciu. Dochodziła północ, gdy w progu komnaty Zuzanny stanęła niska krępa kobieta. Ubrana w popielatą suknię i całkiem siwa, o przebiegłym spojrzeniu szarych oczu, śmiało weszła do środka, utykając na jedną nogę. Zuzanna odprawiła karlicę oraz Joannę, po czym rzekła:

– Król niedomaga...

– Jest już stary. – Ludgarda westchnęła, świadoma, że starość to ostatni etap ludzkiego losu.

Zuzanna omiotła ją gniewnym spojrzeniem i odparła:

– Ma tyle lat co ty... Jednak ty nie cierpisz na choroby, bóle nie budzą cię nocami i nie skazują na samotność.

– Moja droga, wdowieństwo dawno mnie na nią skazało – skwitowała z przekąsem Ludgarda i uśmiechnęła się cierpko, jakby dotknięta uwagą na temat swego wieku. – Ale widzę, że samotność dokucza bardziej tobie niż jego wysokości.

Panna Orłowska westchnęła ciężko.

– Nie tak dawno król wzywał mnie co noc, a nazajutrz posyłał mi hojne podarki.

– Rozumiem... – Ludgarda skinęła głową.

– Widziałaś się z nim... Jak on się miewa? – spytała metresa.

– Bardzo cierpi. Zaleciłam okłady z ziół i leczenie kamieniami. Powinien też jeść dużo sera i czerwonego mięsa, to wzmacnia kości i powoduje, że krew staje się gęstsza. Ostatnio bardzo zmizerniał, schudł... Zaleciłam, by pił napar z goryczki. To wzmoże apetyt i król nabierze ciała.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[PROLOG. ZAMEK WARSZAWSKI, WRZESIEŃ 1573](#)

[ROZDZIAŁ 1. ZWIERCIADŁO UMARŁYCH](#)

[ROZDZIAŁ 2. GDY DWIE MOCE SIĘ SPOTKAJĄ...](#)